

## Spacer po mieście

Łaziłem po mieście bez celu. Słońce piekło moje trupio blade ramiona i jak na złość: ani wiatru, ani chmury, ani olejku do opalania. Nudziło mnie to wszystko, czułem, że zaraz zwymiotuję ze znudzenia! Nie, słońce nie miało tu nic do rzeczy. Byłem absolutnie przekonany, że mój żołądek zaczyna kręcić piruety właśnie z powodu całkowitego braku jakiegokolwiek ruchu na tej palonej słońcem, brzydkiej i śmierdzącej ulicy. Pod stopami widziałem wysuszoną na wiór drogę (w życiu bym nie powiedział, że znajduję się niecały kilometr od centrum miasta, gdyby nie to, że kilka minut wcześniej minąłem tabliczkę z takim właśnie napisem: „Centrum”).

Nad moją głową wisiały balkony. Dziwaczne wypustki architektoniczne porośnięte zwiędłym zielskiem. Jak można żyć z czymś takim?! Przez samą świadomość, że mogłoby to wisieć na moim balkonie, mam ochotę się powiesić. Na balkonie, który pochłania co najmniej jedną trzecią czynszu za moje mieszkanie! Kompletnie to dla mnie niepojęte. Tylko czekałem aż jedna z tych suchych trawiastych kęp oderwie się od zardzewiałej balustrady i razem z ceglastą doniczką spieprzy mi się na łeb. Było mi wszystko jedno. Zżerała mnie nuda.

Niby wiedziałem, że jestem u dzikusów (zachód Europy wcale nie musi oznaczać cywilizacji, drodzy państwo, oj nie musi), ale jakoś mimo wszystko trudno było mi się z tym pogodzić. W końcu o Niemcach też mówi się „państwo Europy Zachodniej”, a jednak jesteśmy w ewolucji o wiele dalej od tych tutaj brudasów. Z resztą, kto wie, jak potoczyłyby się nasze losy, gdyby i u nas było tak piekielnie gorąco... mózgi się ludziom gotują na twardo. Co i raz wycierałem czoło chusteczką, żeby pot nie spływał mi do oczu. Wróć do hotelu

i co zamówię? Chłodnego drinka z palemką? Shake'a owocowego? Pucharek lodów czekoladowych? Nie! Zamówię trzy kubeczki kefiru i będę smarować spieczone na raka ramiona i nos! Też mi się spaceru zachciało, cholera jasna...

Nagle za winklem usłyszałem głosy. „Fatamorgana – pomyślałem – z tego wszystkiego wyląduję u jakiegoś łapiducha na kozetce! Już słyszę głosy!”. Zbliżałem się do źródła dźwięków i z każdą kolejną minutą miałem coraz silniejsze przeczucie, że za chwilę zacznie się coś wielkiego. Narastał we mnie niepokój, w końcu byłem u dzikusów. Kto to wie, co im strzeli do łba?! Mogliby mnie na przykład nadziać na dzidę i owinąć czerwoną płachtą, a ponieważ byłbym już wtedy na pewno niezłe przyrumieniony tym cholernym słońcem, zjedliby mnie na obiad. Naprawdę zaczynałem się bać.

Wyjrzałem zza winkła ostrożnie, a ludzie zaczęli wrzeszczeć! Nic nie słyszałem, tylko mnóstwo wrzasków! Schowałem się z powrotem, może mnie nie zauważyli, lepiej to przeczekać – pomyślałem, ale za chwilę ogarnęła mnie pioruńska ciekawość. Kto, co i *warum*?!

Wyjrzałem. Niewątpliwie coś się zaczęło i było to coś całkiem wielkiego. Ludzie biegali wkoło, wrzeszczeli i machali rękoma. Nie widziałem dokładnie – albo czymś w siebie strzelali, albo rzucali. Łapali za broń, jaką tylko mogli, leżała wszędzie: na wozach, na chodnikach, na parapetach okien, tylko cholera! Co to było?! Wszystko działo się tak szybko, że nie nadążałem z samym patrzeniem, a jeszcze co chwila chowałem się za murem, bo wydawało mi się, że czymkolwiek była ta broń – leciało to w moją stronę. Ja tak bardzo boję się takich uderzeń, dostałem kiedyś kamieniem w głowę, do dziś mam ukruszony ząb!

Coś nieprawdopodobnego! Starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety, a nawet dzieci łapali, co mogli, i atakowali na ośle! To były kamienie? Jezu, możliwe, te bestie zdolne są do wszystkiego! Jakiś facet, wysoki i chudy, uderzony zniecka, zachwiał się nagle i stracił równowagę. Twarz spłynęła czerwienią, a z ust wyrwał się przeraźliwy ni to wrzask, ni to śmiech... Krew?! Boże mój, przecież ja nigdy w życiu nie widziałem krwi! Myślałem, że zemdleję, ale nie mogłem oderwać oczu od starca. Podniósł się ostatkiem sił i sięgnął po amunicję.

Zdawało mi się, że już po kilku minutach wrzawa opanowała całe miasto. A właściwie całą tę część miasta, którą miałem przed sobą, dzięki Bogu, bo za moimi plecami nie było nikogo i panował spokój. Z prędkością odrzutowca przebiegł tylko jakiś kot i przeleciał gołąb tak bez troski, że aż miałem ochotę go zamordować! Jak możesz być taki spokojny, ty skurwysynu, kiedy tu giną ludzie! Najchętniej byś ich obsrał, ty bandycki darmozjadzie!

Brakowało mi tchu, bałem się ruszyć palcem, przed oczami przewijały mi się różne obrazki: ja – zboczony krwią, nagi, leżę na ulicy w kałuży własnych wnętrzności; ja – oparty o mur podtrzymuję wnętrzności rękami i rżę „pomocy!”; ja – bez jednego oka, bez jednej ręki i bez nogi, czołgam się; ja – po prostu trup; mój pogrzeb w Berlinie (mnie nie ma, jestem już w trumnie) – *muti* płacze, pada deszcz, ktoś wygłasza przemówienie: „był dobrym człowiekiem, zginął młodo w kraju dzikusów...”.

Wszystkie ulice zboczone krwią, mamusiu, to jest krew?! Taka czerwona i rozrzedzona? Zewsząd atakował mnie grzmiący, nieludzki wrzask: wściekłości czy podniecenia? Sam już nie wiedziałem, to wszystko było takie okropne, takie irracjonalne, myślałem już tylko o najbliższym pociągu do Berlina... Ostrożnie wyjrzałem zza muru.

Bez wytchnienia. Nikomu nie pozwalali umknąć. Ludzie padali jak muchy w kałuże swoich flaków (wyglądało to makabrycznie, tarzali się w tym bagnie, czołgali!) a potem podnosili się i wykrzywiali twarze jak jakieś potwory! Potwory, które rodzą się w krwawym szlamie, zombie! Wstają z umarłych, żeby mordować kolejnych pobratymców. Czasem ktoś uderzał głową o chodnik i tracił przytomność. Raz już prawie poderwałem się, żeby biec na ratunek, ale szczęśliwie rozsądek zwyciężył. Młoda, piękna, czarnowłosa dziewczyna z kwiatkiem za uchem upadła i nie podniosła się. Byłem pewien, że umarła, a jeśli jeszcze nie umarła, to była na najlepszej drodze. Wszystko we mnie wrzało, nie mogłem racjonalnie myśleć: biec tam, ratować ją! Jeśli jej nie dobiją tymi swoimi kamieniami, czy co tam mieli, to ją po prostu zdeptają! Dzikusy, głupie, brudne dzikusy! Jak Hindusi i Arabowie, daję słowo, co ja tu robię w ogóle?! *Muti*, co ja tu robię?! To mają być wakacje?!

Napadali: brat brata, siostra siostrę. To było niepojęte, przecież widziałem, że w większości byli tutejsi – krewni, sąsiedzi, przyjaciele z podwórka – przecież to od razu widać, ciemna karnacja, czarne czupryny i wielkie, ciemne oczy głębokie jak studnie. Nie mogłem pojąć – najczęściej atakowali z tyłu, jakie to barbarzyńskie! Zauważyłem, że dawało to większą szansę na zaskoczenie wroga i skuteczne unieszkodliwienie. Po trupach do celu, Panie Boże, ty się lepiej za mnie pomódl, bo jak mnie tu znajdą, to rozstrzelają, kto wie, czy te zamieszki to nie jakaś ich tajemnica państwowa! Wezmą mnie za szpiega i rozstrzelają jak nic!

Najczęściej bili w głowę! O! Właśnie teraz! O nie! Aż odruchowo zasłoniłem oczy. Kobieta odwróciła się w najmniej stosownym momencie, co za pech – po policzkach spłynęła jej powoli cienka, czerwona stróżka... (widziałem wszystko przez palce, od dziecka tak robię, zasłanianiem twarz, a

potem podglądam, bo nie wytrzymuję napięcia, co za wstyd!) kobieta w spazmach opadła na ziemię. Co? Jezu, śmiała się. Dusiła się śmiechem, aż ją skręcało. Czy tak wygląda agonia? Ja nie chcę... To musi być takie tragiczne, umierać w spazmach śmiechu. Zresztą ja nigdy nie miałem poczucia humoru, taki już jestem; po prostu chcę umrzeć z kamienną twarzą! Jak zabawa to zabawa, a jak zdychać to zdychać. Błagam, tylko żebym się wtedy nie śmiał!

Obserwowałem jeszcze przez chwilę. Powoli przyzwyczajałem się do makabrycznego widoku, tak działała ta cholerna znieczulica. Nawet nie zwróciłem większej uwagi, ale zdawało mi się, że każdy kto upadł, musiał podnosić się z powrotem i wracać do bitwy, bo walczących nie ubywało, ani nie przybywało trupów na chodnikach. Zauważyłem nawet kilku turystów takich jak ja – aparaty fotograficzne na szyjach, kamery cyfrowe, statywy, telefony komórkowe, no cholera wie co, drogie sprzęty, a oni ich tak bezczelnie! Po tych sprzętach, po wszystkim, a przecież niewinni ludzie, bo i co oni winni?! O mój Boże! Dziadek upadł. Poślizgnął się na flakach. Wywalił się, runął jak długi i leży. A przy nim popękany teleobiektyw ze zbitym szkiełkiem. Moich dwóch pensji by nie starczyło na taki obiektyw. Dziadek leżał bez ruchu i sapał, chyba nie mniej przerażony niż ja. A ty, dziadku, biedaku jeszcze wszystkiego nie wiesz, rozpieprzyli ci obiektyw.

Nagle stało się najgorsze, co mogło się stać. W jednej chwili całe moje ciało zrobiło się sztywne i lodowate, czułem to. Zobaczył mnie, skurczybyk. Poczulem zimny pot na czole i na plecach. Jeszcze przez chwilę myślałem, że może jeśli wcisnę się mocniej w ten mur, przywrę wszystkimi członkami, wciągnę brzuch, rozłożę dłonie i stopy jak najbardziej na boki... to może pomyśli, że mu się zdawało? Może uda mi się przyjąć kolor otoczenia, w końcu niektóre gady to potrafią, tak?! Wtopię się w deseń rudych cegieł i będę bezpieczny. Usłyszałem, że zaczynam jęczeć. To było silniejsze ode mnie. Facet

ciągle się na mnie gapił z paskudnym uśmiechem. Stał i gapił się, serce podeszło mi do gardła, jakby chciało wyskoczyć na zewnątrz, a na prawym ramieniu usiadła moja dusza – gotowa na odlot do nieba, już franca spakowała walizkę.

Nagle facet dostał w ucho. Wytrysnęła mu z głowy czerwona fontanna, cały z resztą był już czerwony. Zaśmiał się i zawołał coś w tym obcym, barbarzyńskim języku. Wołał do kolegów rozbawiony i pokazywał na mnie palcem. Wiedziałem, że już po mnie. „Kończcie szybciej, dzikusy, no chodźcie tu i skończcie ze mną, już mam was dość!” – krzychałem do nich w myślach – „*Du verwildert Shweine! Du schmutzig Wildfang!*”.

Widziałem jak brał zamach i celował we mnie. Oberwałem centralnie w nochal. Padłem na ziemię i krzychałem, że mnie zabili, ale za moment poczułem znajomą woń. Odruchowo oblizalem wargi i... nie wierzyłem własnym zmysłom! Pomidor! Jak mamcię kocham, to był smak pomidora... czyżby krew smakowała jak pomidor, czy to możliwe?

Wstałem ostrożnie, podtrzymując się muru – jedyne go mojego w tej chwili najszczerzego sprzymierzeńca. Popatrzyłem jeszcze raz po zgromadzonych na ulicy ludziach. Cali upieprzeni pomidorami i szczyrzyli ryje jak głupi do sera. Musiałem mieć bardzo kretyński wyraz twarzy, bo dwóch koleśki pokładało się ze śmiechu na chodniku naprzeciwko i co chwila spoglądali na mnie, pokazując palcem. Z każdym spojrzeniem rzeli coraz głośniejsze. „A żebyście się podusili, kutasy. W dupie mam to wszystko” – pomyślałem, ciągle jeszcze w szoku. Przecież to była taka straszna masakra, było tyle krwi... a tu, kurwa, pomidor. Szkoda, że nie „dziadka kalesony”, wasza mać!

Po powrocie do hotelu nie zamówiłem drinka, ani shake'a, ani lodów, ani nawet kefiru. Zamówiłem przewodnik po Hiszpanii – tym barbarzyńskim kraju

dzikusów i degeneratów! I poczytałem sobie. Czytałem, a z każdym kolejnym przeczytanym słowem rosła we mnie wściekłość. W takie jajo mnie zrobić, w takie wielkie, paskudne jajo! Wiecie, jak to się bydłę nazywało? To nawet miało nazwę, to jest podobno „tradycja”, element „kultury” tego regionu, boki zrywać po prostu! I jaka poetycka nazwa: *La Tomatina*, Bitwa Pomidorowa...

Czułem, że za chwilę eksploduję, jeśli natychmiast nie skrucę komuś karku. Wyrzuciłem przewodnik przez okno i położyłem się wygodnie na łóżku, próbując odgonić złe myśli. Wstałem, zaciągnąłem rolety. Położyłem się z powrotem. W pokoju panował półmrok, ale to mi nie wystarczyło, pragnąłem zupełnych ciemności! (co być może wiązało się z tym, że najbardziej na świecie chciałem w tym momencie zapaść się pod ziemię albo zwyczajnie zniknąć). Sięgnąłem do szuflady po okularki do spania. Przez kilka chwil bardzo starałem się odprężyć całe moje biedne, zestresowane ciało, ale ramiona piekły, jakby mi je kto ogniem przypalał. Zadzwoiłem do recepcji po zbawienny kefir. Facet w słuchawce roześmiał się i powiedział: „Pomidor!”.